

Opowieść oautorska

Pół roku temu ukończyłem studia i od razu wyprowadziłem się z domu, jeszcze szukam pracy. Powiecie zaraz: „Pewnie dlatego, że wybrałeś kierunek pokroju europeistyki albo socjologii”. Otóż nic bardziej mylnego! Skończyłem informatykę na bardzo poważanej uczelni, a bezrobotny jestem z innego powodu – przez tego kretyna, autora opowiadania, którego jestem głównym bohaterem! Nie wierzycie? Tak właśnie jest! Przecież mógł dać mi wszystko. Piękną i mądrą żonę, z którą można by porozmawiać na każdy temat, pracę, którą wykonywałbym z przyjemnością, duży dom, samochód... Ale nie! Jestem bezrobotnym facetem po studiach, bo taki pasowałem mu do opowiadania. Czy jestem z tego tytułu postacią ciekawszą, bardziej zabawną, barwną, tudzież intrygującą? Nie mam pojęcia, wiem natomiast, że zamiast tych wszystkich cech wolałbym szczęście życiowe, którego autor co prawda czasem mi udziela, ale co i raz pozbawia, i to wyłącznie ze względu na własne widzimisię. Trochę mnie to irytuje, nie powiem, że nie. A wiecie dlaczego? Bo jemu tak pasuje, bo on pisze to opowiadanie. Tak – jest też autorem tychże tragicznych narzekań. Jak widać, przy odrobinie dobrej woli mógłbym być szczęśliwy, nawet mimo tego, czym mnie doświadcza – nie jestem, bo taki już zostałem stworzony.

Wielkie dzięki.

Zaraz po osiemnastych urodzinach zdałem test na prawo jazdy i kupiłem pierwszy samochód, który, nawiasem mówiąc, był niewiele młodszy ode mnie. Zdecydowałem się na takie auto, ponieważ było tanie i nawet gdybym je rozbił, to aż tak bardzo bym tego nie żałował. Pół roku później przekonałem się o trzech rzeczach. Po pierwsze – zawsze, ale to zawsze warto rozejrzeć się co najmniej dwa razy przed wjazdem na skrzyżowanie. Po drugie, myliłem się co do ilości mej żałości w przypadku rozbicia pierwszego samochodu. Po trzecie, jedzenie w szpitalach nie jest aż tak ohydne, jak mawiają, ale porcje zdecydowanie mogłyby być większe. Leżałem w tym arcyciekawym miejscu około dwóch tygodni. Pierwszego dnia

Opowiadanie inspirowane piosenką Megadeth *Sweating Bullets*

prawie porzuciłem agnostycyzm na rzecz jakiejś bliżej nieokreślonej teistycznej formy religijnej, co zapewne było wywołane szokiem powypadkowym, bo drugiego dnia już mi przeszło. Z oczywistych względów miałem dużo czasu na rozmyślenia i zdążyłem stwierdzić, iż potrzebuję artystycznej samorealizacji. Spróbowałem więc swoich sił w pisaniu sentencji i krótkich wierszy, ale szybko zniechęciłem się jakością własnej liryki. Artysta aforysta się znalazł. Po pewnym czasie niemocy twórczej zacząłem grać na gitarze, ale szybko dało o sobie znać uszkodzenie mięśni prawego ramienia w wypadku, więc przeszedłem na wokal. Nie minął miesiąc, a okazało się, że od dawna choruję na jakąś paskudną chorobę układu oddechowego, która uniemożliwia długotrwałe korzystanie z przepony, więc nie mógłbym poprawnie śpiewać. Ech... może byłoby mi lżej, może byłbym choć trochę spokojniejszy, gdybym nie wiedział, z jakiego powodu to wszystko mnie spotyka.

Wielkie dzięki.

Jako że wszystkie znaki na niebie i ziemi zdawały się wskazywać, że nie znajdę ujścia artystycznej energii w muzyce, pomyślałem, że powrócę do pisania. Przeczytawszy jednak kilka ze swoich wcześniejszych „dzieł” stwierdziłem, że tym razem spróbuję prozy. Na pewnej stronie internetowej znalazłem informację, że dobrze jest budować swój warsztat pisarski skupiając się początkowo na tworzeniu krótkich form, takich jak opowiadania. Przystąpiłem więc do pracy – usiadłem na łóżku, spróbowałem się wyciszyć i zacząłem myśleć, o czym można by napisać opowiadanie. Po dwóch godzinach – które wykończyły mnie psychicznie do tego stopnia, że byłbym zdolny wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy – stwierdziłem, że zamiast się zastanawiać, po prostu usiądę i coś napiszę, a co z tego wyjdzie, to wyjdzie. Pierwszy krok jest najtrudniejszy, ale kiedyś trzeba go zrobić. Zabrudziłem tuszem dwie kartki formatu A4 – bo pismem tego nazwać się nie da, chyba że egipskimi hieroglifami. Głównym bohaterem opowiadania był człowiek, który męczy się, pisząc opowiadanie o człowieku, który pisze opowiadanie. Iście rekurencyjna idea, chciałoby się rzec. Problem w tym, że pierwszy raz w życiu

widziałem tak prymitywny i realizowany po linii najmniejszego oporu pomysł. Naprawdę, nie mogłem zdobyć się na coś mądrzejszego? Ha! Żeby to jeszcze była moja wina, ale to autor opowiadania, którego jestem chyba jedynym bohaterem, nie chciał (z powodu swej złośliwości) bądź też nie potrafił (z powodu swej tępoty) wrzucić mi do głowy niczego lepszego.

Wielkie dzięki.

Owe bezmyślnie zużyte kartki zgodne ze swym dziejowym przeznaczeniem trafiły do kosza na śmieci i pewnie zdążyły już się rozłożyć lub ulec recyklingowi. Jakie życie, taka śmierć. Jeśli zaś chodzi o mnie i moją działalność artystyczną, skończyła się wraz z ukończeniem studiów i ostatnimi bazgrołami na wykładzie. Pusta kratka, zamalowana kratka, pusta, zamalowana, pusta, zamalowana, zamalo... Aaa! Cały wysiłek na nic, trzeba było wyciągnąć nową kartkę. Budowanie nawet tak prostych form wymyka mi się z rąk. No cóż, jedni rodzą się artystami, drudzy zaś są pierwszoplanowymi postaciami podrzędnych opowiadań.

Wielkie dzięki.

Czas na kolejną dygresję. Otóż dawno temu, gdy tylko zostałem obdarzony jakąkolwiek dawką rozumowania, udało mi się poczynić pewne spostrzeżenie. Nie było to bynajmniej odkrycie Ameryki – prawdę mówiąc, większość zdążyła już to zauważyć, choć ani nie jest przekonana o tym aż tak mocno, ani nie przykładą do tego zbyt wiele wagi, ani nie przedstawia owej prawdy w tak czarnym świetle. Mianowicie, chodzi o jedyną rzecz irytującą mnie o wiele bardziej niż wielokrotnie wspomniany autor tegoż opowiadania. Zmora ludzkości, towarzysząca jej od zarania dziejów, nieuchronnie ją wykańczająca, paradoksalnie jednak ludzkość nie jest w stanie bez niej żyć. Powietrze i woda naszej rasy – czysta w swej postaci i niczym niezmacona GLUPOTA. O ile wyklinając twórcę „dzieła”, w którym bytuję, zdążyłem już użyć słów w jakimś sensie określających ilość oleju w głowie, o tyle były to raczej stwierdzenia mające unaocznic mój wrogi stosunek do jego wrednej

(wobec mnie) osoby. Nie jestem w stanie obiektywnie orzec o jego inteligencji bądź jej braku, choć chyba w tym wszystkim, w czym zdążył mi się pokazać, do geniusza raczej mu dalej niż bliżej, że się tak wyrażę. Natomiast jeśli chodzi o głupotę ludzi jako zbiorowości, nie mam co do niej absolutnie żadnych wątpliwości. Co więcej, nie twierdzę, że nie tkwi w każdym z nas, w większym bądź mniejszym stopniu. Mało tego! Śmiało mogę powiedzieć, każdemu prosto w oczy, że to głupota, a nie rozum, jest tym, co wyróżnia nas spośród zwierząt. Ale niech nikomu się nie wydaje, że większego głupka jego głupota czyni człowiekiem w większym stopniu niż intelektualistę. Wywód ten wydaje się paradoksalny, aczkolwiek radzę dobrze go przemyśleć. Nieuchronnie dochodzimy do miejsca, w którym skończy się akapit i zgodnie z pierwotnym założeniem powinienem sarkastycznie podziękować za coś autorowi. Jednak nowy akapit to nowa myśl, a stary – stara, więc muszę trzymać się koncepcji powyższego (w miarę) logicznego ciągu wyrazów. Niewątpliwie ja także wyróżniam się spośród zwierząt, co właśnie będzie przedmiotem dziękczynienia. Uczyniłeś mnie nie mniejszym kretynem niż reszta, lecz dałeś mi tyle rozumu, bym był w stanie to zauważyć i nad tym ubolewać.

Wielkie dzięki.

Nowy akapit, nowa myśl. Jako że kawalerka, którą wynajmuję, jest miejscem niewiele bardziej przyjaznym człowiekowi, niż pokój Raskolnikowa, postanowiłem wyrwać się w końcu do parku, żeby odciążyć umysł i swobodnie pomyśleć. Dziwnym trafem nie było tam absolutnie nikogo. A może nie tak dziwnym, bo zegar wskazywał północ. Niebo było czyste, widać było wszystkie gwiazdy i pełnię srebrnego globu. Dochodząc do centrum parku stwierdziłem, że już wystarczy mi świeżego powietrza, tym bardziej że bolą mnie nogi, a sensu życia i tak tu nie znajduję. Wracam do domu. Jednak w tejże chwili, kiedy ostatni raz spojrzałem w niebo przed przystąpieniem do realizacji powyższego zamiaru, niebieski (a nawet czarny) firmament zagrzemiał, jakby miał runąć, okrył się chmurami, a horyzont otoczył krąg błyskawic. W pierwszej chwili przerażony, w drugiej czekałem już tylko

na deszcz. Ale ani on, ani żaden inny opad atmosferyczny nie nastąpił. Stało się coś o wiele bardziej niespodziewanego. Niebiosa przemówiły ludzkim głosem:

- Zgadnij, kto postanowił zwrócić się do ciebie, ty rzekomo pozbawiony władzy nad własnym losem.

- No chyba nie sam Bóg? – odparłem, niedowierzając.

- Chybaś do reszty zdurniał.

- Primo – przedstaw się. Secundo – nie obrażaj mnie, bo ja ciebie nie obraziłem.

- Obraziłeś, przekląłeś, miałeś wieczne pretensje.

- Autor?!

- We własnej osobie.

- Naprawdę nie mogłeś wybrać lepszej chwili na rozmowę? Zresztą, komu ja to mówię...

- Jak zwykle twierdzisz, że to moja wina, co? Tym razem tak, nie pierwszy i nie ostatni zresztą, ale moje widzimisię nie jest jedynym czynnikiem mającym wpływ na twoje życie.

- Bardzo śmieszne.

- Nie ignoruj tego, co mówię. To nie ja pozbawiłem ciebie kontroli, to nie ja kreuję twoją rzeczywistość.

- Bzdura! Ty piszesz, ty tworzysz, odpowiedzialność jest po twojej stronie!

- Ha ha ha! Naprawdę nie wiesz, o czym mówisz, ale w porządku. Powinieneś być mi wdzięczny, że w ogóle istniejesz.

- Owszem, istnieję, ale jaki istnieję i jak istnieję? Spójrz na swe dzieło – czy jest dobre? Nie mam nawet poczucia sensu życia.

- Bo nie ma sensu życia. Wiecznie jesteś niezadowolony, czegoż twoja dusza pragnie?

- Spokoju.

- Spokojem będzie koniec, nie ma wyjścia.
- To skończ w końcu ze mną, krasomówco!
- A żebyś wiedział, bo już mnie irytujesz. To jest koniec, lecz ilekroć o tobie przeczytają, będziesz się rodził i przeżywał to, co spisałem. Nie wszystek umrzesz, ale po stokroć narodzisz się na przekór własnej woli. Zejdź mi z oczu!

AMEN